

Wiech  
Opowiadania powojenne

Tom VII  
Wariackie papiery



# Wiech

Stefan Wiechecki

## Wariackie papiery

vis-à-vis  
*etiuda*

Kraków 2023



## *Dmuchnij pan w balonik*

W celu powiększenia bezpieczeństwa samochodowego w Warszawie podczas karnawału będą lada dzień zaprowadzone tak zwane próbne baloniki. Cóż to mianowicie są za baloniki? Jak donosi prasa, cała maszyna, wynalazku dwóch młodych krakowskich doktorów, składa się z rurki szklanej, wypełnionej dwiema warstwami mielonego szkła i zakończonej balonikiem koloru żółto-pomarańczowego o pojemności około litra.

Otóż więc jak w te rurki dmucha małe dziecko albo nawet dorosły mężczyzna, któren od paru dni kieliszka wódki nie widział, balonik zachowuje się przyzwoicie i nie zmienia koloru. Ale o wiele przystawimy go do ust warszawskiemu szoferowi i każemy mu chuchać, balonik natychmiastowo zaczyna nam wykazywać, ile było kolejek.

Przy średniej ilości tylko pół balonika z pomarańczowego zamienia się na zielonkawy, jeżeli natomiast nadużycie było znaczniejsze, balon przybiera kolor szczypiorku. Powyżej litra pęka z hukiem. Wynalazek ten jest niezmiernie doniosły i może nareszcie, jak się to mówi, położyć kres. Bo do tej pory badanie szoferaków na te okoliczność było faktycznie mocno utrudnione. Jeżeli się rozchodzi o starożytny sposób za pomocą zwyczajnego chuchu, to nie był on nigdy na sto procent pewny. Mieliśmy co prawda w naszej milicji wybitnych specjalistów, którzy po jednym chuchnięciu mogli postawić następującą diagnozę:

„Dwie setki czystej, korniszonek, znowuż dwie setki, jajeczko mole, duże jasne z wianuszkciem. Wynik ogólny: podgazowany”.

Ale raz, że tych facetów była niedostateczna ilość, a po drugie, że taką ekspertyzę można przeprowadzić wyłącznie samemu znajdując się na czczo. A milicja musi czuwać nad ruchem kołowym w Warszawie i po śniadaniu, i po obiedzie, i po kolacji, a nawet po imieninach w rodzinie.

Drugim znowuż sposobem był egzamin z wymowy. Brało się takiego podejrzanego o ankołizm kierowce i każało mu się prędko powiedzieć te słowa:

„Drabina z powyłamywanemi szczęblami”.

„Drabinę” nawet najwięcej zabalsamowany kizior wymówił bez błędu, ale na „szczęblach” już letko tylko podkropiony facet leżał bezapelacyjnie. Wychodziło mu albo „pomywowylanemi”, albo „połamywałami”... albo jeszcze gorzej. No i rzecz jasna, że zamykali go z miejsca. Jednakowoż trafiali się przytomniaki, że nie tylko drabine, ale wiersze niejakiego Przybosa pod największym gazem deklamowali bez najmniejszego feleru.

Totyż musiem się cieszyć, że dzięki tem młodem doktorom będziemy mogli chodzić po Warszawie bez narażenia życia pod samochodem, nawet osobiście znajdując się coś niecoś pod muchą.

Tylko ciekawy jestem, czy ten aparat oprócz wódki wykazuje także samo tak zwane „duże ciepłe z charakterem”, to znaczy grzane piwo pół na pół z gołą sprzedawane przez niektóre litościwe budki na mieście. Ale przypuszczam, że wykazuje, bo te doktorzy, pomimo młodego wieku, muszą być duże fachowcy na szcnot wypicia w miejscu i na wynos.

W każdym bądź razie trzeba ich jeszcze pochwalić i za dbałość o tak zwane ładne podejście.

Takie sprawdzanie szoferów przez milicję w sobotni wieczór karnawałowy będzie wyglądało jak masowa im-

preza uliczna „Expressu Wieczornego” pod tytułem „Dmuchi-  
nij pan w balonik” z łaskawem udziałem funkcjonariuszy  
wydziału ruchu kołowego.

## *Usługi na co dzień*

Dzisiaj w tak zwanem obliczu Nowego Roku zmuszo-  
ne jesteśmy zastanowić się między innymi nad spółdziel-  
czością. Czego już, jak się to mówi, dokonała i z czym za-  
miaruje w nadchodzącym roku do nas doskoczyć. W tem  
celu otwieramy spis rzeczy, czyli „Informator usług na co  
dzień”. I cóż my tam widzimy?

Widzimy, że ruch spółdzielczy daje nam odczuwać  
swoją opiekę przez całe nasze życie. Od gumianego smocz-  
ka na butelce z mleczkiem, który nam wkłada do buzi,  
kiedy jeszcze nie znamy się na innych napojach wysokoko-  
wych, aż do usługi spółdzielni pracy „Pogrzeb” włącznie.

W międzyczasie narażone jesteśmy na cały szereg  
usług, których jest bogaty wachlarz, czyli pare tysięcy sztuk.  
I w taki sposób możemy wymienić tylko niektóre na wryw-  
ki. A więc:

ANALIZY LEKARSKIE  
HULAJNÓG NAPRAWA

\*

LEPÓW NA MUCHY PRODUKCJA  
MUSZTARDA SAREPSKA I CHRZANOWA

\*

KURZAJEK USUWANIE  
WĄSÓW CZERNIENIE

Specjalna spółdzielnia do czernienia wąsów. Luksus,  
co?!

MANIKÜRE I PEDIKÜRE

Proszę zwrócić uwagę na te stope życiowe!

MAŁŻEŃSKIE ZWIĄZKI

CZĘŚCI ZAMIENNE...

A nie, przepraszam:

Części zamienne do maszyn cukierniczych.

USŁUGI PRZEDŚLUBNE

PRZECIERANIE KOMINÓW –

FABRYCZNYCH I DOMOWYCH

OKRĘTOWYCH URZĄDZEŃ KONSERWACJA

OBRĘBIANIE DZIUREK MĘSKICH,

DAMSKICH I DZIECINNYCH

Okrety w Warszawie ma obecnie rzadko kto, ale dziurki prawie każdy.

Idziem dalej:

TRAKTORY ROLNICZE

NAGUSKI GUMOWE

WYPOŻYCZANIE NAKRYĆ STOŁOWYCH

SPRZĄTANIE MIESZKAŃ

Itd., itd., itd. Z tego widziem, że całe nasze życie doczesne i pośmiertne jest w tem rozkładzie jazdy przewidziane i zamieszczone. Toteż z pewnem zdziwieniem czytałem w „Expressie” o tem konkursie pt. „Trzy pytania, czyli jak usprawnić spółdzielczość”. Co tu jeszcze usprawniać?

Jeden z czytelników pisze na przykład, że powinien być założony spółdzielczy hotelik dla drobnej zwierzyny domowej, gdzie – wyjeżdżając na wczasy – można by pozostawić kanarka, kotka albo pieska. Mojem zdaniem projekt jest niezyciowy. Bo o wiele weźmiem pod uwagę, że jeżeli ktoś oddaje, powiedzmy, do spółdzielczej pralni pelise na cybetach, a otrzymuje nazad pare sztuczkowych spodni, bo zaszedł przykry wypadek z powodu braku dozoru. To cóż może sie zdarzyć z kanarkiem? Właściciel po urlopie zgłasza sie po niego i wręczają mu pieska.

- Przepraszam, ja przyszedłem po kanarka – mówi.
- Kanarek jest w kotku.
- Jak to w kotku? Zresztą to jest piesek.
- Bo kotek jest w piesku. Zaszedł przykry wypadek braku dozoru. Mało etatów mamy.

To się nie oplaci, za dużo kramu, lepiej wyrabiać kotki, pieski i kanarki z włóczki. Zaczem więc wprowadzać jakieś rozszerzania, warto się zastanowić nad tem, co już jest, na czym na przykład polegają nadmienione już usługi przedślubne. Jak nasz poucza katalog, jest to: „załatwianie wszelkich spraw związanych z zawieraniem związków małżeńskich”. A więc jeżeli, powiedzmy, pan młody się rozmyśli i nie stawi się do Urzędu Stanu Cywilnego na ślub, spółdzielnia dostarcza innego członka. Jedno mnie się tylko nie spodoba, że zajmuje się tem spółdzielnia inwalidów i emerytów „Wspólna Sprawa”. Lekramacje więc niewykluczone.

A teraz weźmy pod uwagę tak niedocenione przez ogół spółdzielcze sprzątanie mieszkania. Osobiście najwięcej mogię\_ o tem powiedzieć, bo jak raz przed świątami sam padłem ofiarą. Zaczem zadzwonić po fachową pomoc, chciałem wyreńczyć żonę przy sprzątaniu. I jaki był rezultat? Kiedy zaczęłem froterować podłogie, bo żona poszła po ryby, noworoczny indyk ze spółdzielni produkcyjnej w Piekielku wyrwał się z kuchni i nawiał na piec. Pomimo tak zwanej perswazji nie zamierował wcale złazić. Więc cóż miałem robić. Ustawiłem krzeselko na stole, wlałem na niego i udałem się do indyka. Wyciągiem po niego rękę, a ten na mnie: „gul, gul, gul!”.

– Co ty, na mnie gulgoczesz? Na swojego pana? – mówi, i za nogie go.

A ten jak mnie nie dziobnie w nos, jak nie poprawi w czoło. Krzesło się pode mną przewróciło. W ostatniem momencie złapałem się za żerandol. Wyrwałem go razem

z hakiem i z całym nabożem zleciałem na dół. Stół pękł na cztery części, a ja musiałem skorzystać z branżowej spółdzielni lekarsko-dentystycznej „w celu uzupełnienia uzębienia”. Całe święta przeleżałem chory.

Nie byłoby tego wszystkiego, żebym się od razu udał do spółdzielni pracy usług porządkowych „Czystość”.

Bo czystość to zdrowie.

## *Muszę być na Murzynach*

Niemożliwego dubla dali naszej Warszawie te Murzy- ni z tą swoją operą. Wszyscy się uparli ich zobaczyć. Nawet tacy, co nigdy w życiu w teatrze nie byli i zasadniczo sztuki dramatyczne, jak to się naukowo mówi, chromolą.

A że, jak nasz poucza statystyka, Polaków jest dwadzieścia parę milionów, a miejsc w teatrze na wszystkich przedstawieniach dwanaście tysięcy, zrobiło się troszkę przyciasno. Do wszystkich warszawiaków rodziny z prowincji i z Ziemi Odzyskanych się pojeżdżali. Nawet babcia Stankiewicz spod Garwolina, która sto trzydzieści sześć lat w dobrym zdrowiu bez teatru przeżyła, też podobnie zapowiada swój przyjazd na Murzynów. Co tu więc mówić o Gieni. Pierwszego zaraz dnia, jak przeczytała lekramę w „Expressie”, zaraz mnie zaznaczyła:

– Walerek, muszę być na Murzynach, chociażby po twojem trupie.

I faktycznie, o mały figiel do tego nie doszło. Trzy noce w ogonku pod „Orbisem” spędziłem. Zapalenia oskrzeli się nabawiłem, trzysta złotych w oczko przegrałem, ale koniec końców biletu żem zdobył. I muszę zaznaczyć, że faktycznie warto się było pomęczyć. Murzyni jak żywe, jedne co prawda w odpowiedzialnym czarnym kolorze,

drugie dużo bledsze, troszkie jakby sie w tej podróży wytarli, ale tyż oblecą.

Ale najwięcej mnie sie spodobał jeden sztukowany.

Znaczy sie z dwóch niedużych Murzynów uskutecznieiony jeden nienaturalnego wzrostu. Robi sie to zwyczajnie i po prostu. Mniejszy bierze większego na barana i ubiera ich sie obydwóch w jeden garnitur męski specjalnie w tem celu uszyty. Ten mniejszy całkowicie sie ukrywa w spodniach razem z głową, tak że widziem popiersie tylko jednego. Faktycznie wytresowane są oba na medal, tak że publika, zwłaszcza z prowincji, za cholere sie na tem nie połapie. Ale nas, warszawiaków, w taki kant nie da sie uderzyć, bo na festiwalu smoka złożonego z czterech Chińczyków, co przez stół skikał, widzieliśmy.

Jednakowoż nie da sie powiedziec marnego słowa, Murzyn – chociaż składany – gra jak jednostalny. I to jak rozrabia!

Także samo zasługuje na uwage jedna Murzynka, niejaka Bess, która takie sambe zasuwa bez podwiązek, że kankan w „życiu paryskim” na Puławskiej jest przeciwko niej – noworoczna zabawa z Dziadkiem Mrozem dla dzieci w przedszkolu. A że przeważnie po lewej stronie sceny sie trzyma, cała publika płci męskiej stale i wciąż w lewo sie patrzy.

Ja tam jeszcze najmniej. A mimo tego w drugim akcie Gienia w kostkie mnie kopła i mówi:

– Co sie tam stale i wciąż odwracasz, życiem starszych Murzynów sie interesuj pod kapitalistycznym uściskiem. Patrz, jakie nędzy cierpią, jak mieszkają, jak jem tynk ze ścian leci.

– To ja na to trzy noce pod „Orbisem” figurowałem i tyle pieniędzy wydałem, żeby tu obserwowac, jak tynk ze ścian oblatuje? To to ja mogie co dzień za darmo na Medememie albo na Muranowie zobaczyc – odciałem sie żonie,

ale już w znacznie cięższych warunkach mogłem podziwiać te wielką sztukie murzyńską z masowymi pieśniami i tańcami figurowymi.

Toteż muszę jakoś to zrobić, żeby za wszelką cenę jeszcze raz ujrzeli moje oczy te całe przedstawienie, bez technicznych trudności. Tylko nie wiem, czy zdąże.

Gotowy jestem się poświęcić i do Ameryki za niemy pojechać, tylko się boję, że mnie Gienia nie puści!

## *Pomnik ciuchci*

Pare dni temu w tył prasa doniesła, że ciuchcia do Jabłonny skasowana. Przy okazji nasobaczyli jej troszkie w gazetach, że jest przestarzała, że przeszkadzała w budowie mostu pod Żeraniem itd.

Są tacy, co mówią, że po prostu nie pasuje, żeby po drodze do socjalizmu taka lokomocja się pętała, którą jeszcze nieboszczyk Józio Poniatoszczak do swojej wilji w Jabłonie co sobotę na letniaki jeździł. Przygadują mu, że nie tylko sam jeździł, ale i tak zwane kociaki tą ciuchcią tam przywoził. A kogoże miał przywozić? teściowe? kiedy w kawalerskim stanie całe swoje życie, przytomniak, przepędził! Na co ta mowa!

Jeżeli o mnie się rozchodzi, nie mam o te skasowanie żadnej pretensji, faktycznie, nie może ciuchcia koło fabryki samochodów „Warszawa” latać, to niepoważnie wyglądało i dobrze się stało, że została koniec końców skasowana. Zwłaszcza że zamieszkała tam ludność szkody nie poniesie, bo tramwajami i autobusami – z niedużą przesiadką w Żeraniu – nowocześnie na miejsce się dostanie.

Okazuje się, że nie każdemu można dogodzić. Ja jestem zadowolony, a miejscowa ludność uważa, że lepiej takiem

przedpotopowym gratem jeździć, aniżeli alegantko przejść parę kilometrów spacerkiem. Zwłaszcza że jak raz w te największe mrozy te skasowanie wypadło, grymaszą, że woleli ciuchcie, która jest, od nowożytnych autobusów, których nie ma.

Bo rzeczywiście, autobusom coś tam przymarzło i nawalili. Po drugie marudzą ludzie, że do ciuchci zawsze się można było zmieścić, a do autobusu przeważnie nigdy.

Ale na to się nie poradzi. Jeszcze się taki nie urodził, co by wszystkim dogodził. Musiem iść noga w nogie z postępem, a że ktoś sobie przy tej okazji piętę odmrozi, no to nikt mu nie kazał mieszkać jak raz w Jabłonie.

Zresztą mrozy już znacznie zelźeli, tylko patrzeć będzie maj i wtenczas, jeżeliby nawet derekcja nie powiększyła liczby autobusów, każdy z przyjemnością piechotką nawet do Warszawy się przeleci dla samego zdrowia.

Rozchodzi mnie się tylko detalicznie o to, że trzeba było te parę słów na pożegnanie ciuchci zaznaczyć, bo każdy z nas kiedyś tyż za Poniatoszczaka troszkie był i jak nie do Jabłony, to do Buchnika czy Fiekiełka – gorszego albo lepszego kociaka woził. Niejeden nawet skutkiem takiej podróży się urodził, bo tatuś właśnie mamusię w ciuchci pod Piekiełkiem zapoznał.

To samo w czasie wojny, kiedy naturalnie, ma się rozumieć, koleje dawno już nie kursowali, ona sobie langsam pomalutku, truchcikiem, ale stale i wciąż pod bombami tam i nazad jak cie mogię zasuwała. Ostatnia wysiadła i po oswo-bodzeniu pierwsza zaczęła do Jabłony i Otwocka latać.

Totyż po mojemu chociaż jeden taki troszkie draczny, ale zasłużony, pociąg gdzie niedaleko Warszawy przy szosie w charakterze pomnika trzeba by ustawić.

No i szyn na razie nie zrywać, chociaż przez jakiś czas, zaczem się z temi mrozami rzecz detalicznie nie wyjaśni...

## *Napad wilków*

No, to za pare dni mamy podobnieź pływać po Warszawie. Ostrożniejsze i dalej pracujące osoby rychtują już sobie kajaki. A większe biura zamówili gondole do przewozu pracowników. Ja na razie szykuje tylko pęcherze dla Gieni, żeby miała na czym na Bazar Różyckiego zasuwać po żywność.

Ja się już tem nie zajmuje, bo Gienia udzieliła nam ze szwagrem dymisji pod tem względem. Nie nadajemy sie podobnieź na zaopatrzeniowców. A detalicznie to było tak.

Jak te mrozy uderzyli i zaczęła sie śnieżycą, a w związku z tem dostawa żywnościowych produktów do Warszawy częściowo wysiadła, wysłała nas Gieniuchna na wieś pod Grójec do wuja Orzechowskiego po jajka i masło. Nie można powiedzieć, załatwiliśmy wszystko w deche, nie tylko nabiału żeśmy dostali, ale także samo bitą gięś. Tylko że w powrotnej drodze zdarzyło się nam nieszczęście. A mianowicie jakżeśmy szli przez las do stacji kolejki, napadli na nasz wilki.

To cośmy mieli robić? Rzuciliśmy jem gięś, i same chodu. Masło nam zginęło, a jajka podczas tego ganiańia co do sztuki się wytlukli. Prawda, że to nie do wiary, żeby w biały dzień, niedaleko stolicy wilki grasowali?!

Totyź Gienia nie uwierzyła. Jakżeśmy wrócili nareszcie do Warszawy i opowiedzieliśmy o tem całym zdarzeniu, od razu powiedziała:

– Taki bajer to na Grójec!

– Jak to „na Grójec”, kochanie ty moje, to ty nie wiesz, że wilki sie pod Warszawą pokazali? I że podobny wypadek miał miejsce koło Wołomina, gdzie czterech pracujących chłopów tylko za pomocą wyrzucenia z sanek wieprza od wtrojenia przez wilki sie uratowało? „Expressu” nie czytujesz, prasie nie dowierzasz? Fe, wstydź sie!

– Jak tam było koło Wołomina, nie wiem – mówi na to Gienia – ale że koło Grójca nie wilki gięś opchli, to rzecz pewna.

Wtenczas szwagier Piekutoszczak wyciąga z kieszeni na dowód rzeczowy udko od tej gięsi, które udało nam się wilkom odebrać, i pokazuje Gieni. Moja małżonka spojrzała się na te udko i zaznacza:

– To te wilki te gięś przed zeżarciem upiekli, a nawet ładnie przyrumienili! Jakie to mądre zwierzęta się teraz porobili, no, no!

– Cóż chcesz – mówi na to szwagier – wykształcenie szerzy się obecnie niemożliwie, nawet na wsi...

Ale nie dokończył, bo Gieniuchna wyrzła go udkiem w ciemie. Musieliśmy się przyznać, że wilków faktycznie nie było, a my same upiekliśmy te gięś na masełku w wagonowym piecu, bo pociąg trzy godziny stał w polu i nie mieliśmy innej zagrychy. Jajka żeśmy wypili, żeby się od chryпки ratować. A wszystko dlatego, że szwagier Piekutoszczak miał z sobą pół literka „grypolinu” na pestkach.

Może by do tego nie doszło, żeby Warszawa posiadała na miejscu jakieś zakłady żywnościowe, z zapasami na wypadek takiego kataklizmu natury jak mróz i śnieg w styczniu i lutem.

Ale kto się tego mógł spodziewać w atomowym czasie, kiedy wszystko podobnie jest odwrócone do góry podszewką. Mrozy w zimie... no, no!!!

## *Świąteczny prymaprylus*

Starożytnym zwyczajem przyszło do mnie przed świętami trzech religijnych koleżków, żeby mnie wyciągnąć na rybkie do baru WZG „Pionier”, dawniej „Ślepy Leon”.

Ja także samo jestem ma się rozumieć pobożny, ale niestety, Gienia sprzeciwia się od lat tym uroczystościom, i w taki sposób musiałem odmówić.

– Nie mogię wam towarzyszyć, bo żona się nie zgadza – mówię.

– Co tam żona. Nie patrz się na żonę, kult jednostki wysiadł! – powiedzieli i namawiają w dalszym ciągu.

A ja nie tylko że nie poszedłem, ale zabrałem się do wyrabiania ciasta, tak jak mnie moja jednostka kazała, zatem wyszła do „Delikatesów” po szynkie. Boksuje te żółtą masę towarową i lży mnie same lecą do ciasta, ale nie dałem się. Odrzuciłem pokusę wont od siebie i jeszcze zobowiązanie podjąłem szwagra Piekutoszczaka z tak zwanego zgubnego nałogu wyleczyć za pomocą nowej metody, wynalezionej przez jednego doktora z Bydgoszczy. Bo jak raz parę dni temu nazad przeczytałem w gazecie, że „lekarzowi miejscowej poradni przeciwalkoholowej, dr. Miedziszewskiemu, udało się uzyskać po raz pierwszy w kraju ciekawe wyniki leczenia alkoholizmu za pomocą hipnozy. Po zabiegach hipnotycznych pacjenci nabrali wstrętu do wszelkich rodzajów alkoholu. Zabiegi te polegają na wprowadzeniu leczonego w sen hipnotyczny, w czasie którego lekarz wydaje pacjentowi nakazy zaprzestania picia alkoholu”.

„Dobra jest – myślę sobie – co doktorowi udało się po raz pierwszy, to mnie się musi udać po raz drugi. Szwagra wylecze i wdzięczność Gieni uzyskam”.

To dopiero będzie miała prymaprylus w pierwsze święto, jak się przekona, że ma nietronkowego braciszka. Jakie oczy postawi, jak zobaczy, że szwagier po jajeczku szyneczkie, kielbaskie, schabik raz koło razu z ćwikłą szatkuje, bigosik z apetytem rąbie, nawet święconą wodę ze spodeczka wypija, a wszelkie rodzaje alkoholu odsuwa ze wstrętem. Trzeba się będzie koniecznie tem zająć. Cho-

ciaż jeżeli się rozchodzi o prymaprylus, to lepszy byłby może ten zapstrzyk dla ankoholików dawniej już wynaleziony, o którym słyszałem, że jak kuracjusz setkie po niem wypije, uszy mu nadzwyczaj puchną. To dopiero byłaby zabawa na kółkach, jakby szwagier po pierwszej kolejce takich uszów dostał, jak ten „Penkala”, co przed wojną na wystawach w piśmiennych sklepach jako lekrama kopio- wych ołówków figurował.

Ale na zapstrzyk się Piekutoszczak nie da namówić, trzeba go leczyć metodą nasenną z Bydgoszczy.

Wieczorem udało mnie się jednostkie jakoś do wiatru wystawić i polecałem do szwagra. Zaprowadziłem go do baru, kazałem dać dwa małe jasne i dawaj go usypiać. W tem celu trzeba podobnież mocno wbijać wzrok w oczy pacjenta. Wbiłem i patrzę się na szwagra, czy prędko zacznie kimać. Ale on się pyta:

– Co ty się tak przyglądasz, nie poznajesz mnie czy jak?

Rzecz jasna, że nie mogłem powiedzieć, o co się rozchodzi, i hipnotyzuje go dalej oczami i rękami jak tak zwane fakirzy. A szwagier znowuż mówi:

– Walerek, musisz się udać do nerwowego doktora, bo nie chciałbym, żeby mnie siostra za wdowę po szwagrze wariacie się została.

Wtenczas skompinowałem, że na czczo mnie nie uśnie, i kazałem dać ćwiartkie, ale też się opierał. Dopiero po czwartej czy piątej udało mnie się doprowadzić go do jakiego takiego letargu.

Wtenczas zacząłem wydawać nakazy:

– Nie lubisz wódki! Lubisz roztrzepaniec! Nie lubisz gołdy, ciapciaku! Lubisz orężade, łachmyto! Jak nie przestaniesz pić, to ręka, noga, mózg na ścianie!!

I byłbym szwagra wyleczył, żeby nie to, że kierownik posłał po milicje i zostałem zatrzymany za awantury w lo-

kalu. Na dobitek, jak wróciłem do domu, Gienia powiedziała, że mnie zahipnotyzuje bez usypiania, tak że odechce mnie się rybki po wieczne czasy. I faktycznie, troszkie mnie zahipnotyzowała. A ja przecież na żadnej rybce nie byłem, tylko szwagra chciałem wyleczyć z ankoholizmu za pomocą najnowszej metody naukowej. Uczone faceci zawsze na początku natrafiają na trudności. Przede mną narzekał już na to Kopernik z Torunia i niejaki Galileusz, jak sama nazwa wskazuje, z Krakowa. A może trzeba było całą chwesię zostawić na po świętach, bo święta czas taki więcej monopolowy.

## *Amerykanka*

Już pare lat Gienia stale i wciąż głowe mnie suszyła, żeby koniecznie fotel-łóżko, czyli tak zwaną amerykankie sprawić.

– Na co ci, kochanie ty moje, ta „podżegaczka wojenna” – mówie – przecież leguralne łóżko posiadamy, a siedzi sie doskonale na krzeselkach.

– No tak, ale jak ktoś z rodziny przyjedzie i chce zanoć, pamiętasz, jak sie męczem?

– Faktycznie, jak w zeszłym roku na Wielkanoc wujo Wężyk z ciocią Wężykową z miasta Łodzi do nasz przyjechali, ciocia Gieni do łóżka na moje miejsce sie wmeldowała, wujo spał pod stołem jak pod baldachimem, a ja ze szwagrem Piekutoszczakiem w szafie.

Powodziło nam sie tam co prawda nienajgorzej, bo Gienia trzymała w szafie gąsior leczniczego spirytusu, to sie zawsze pociągało po setuchnie do poduszki. Fakt faktem, spirytus był na mrówkach w charakterze lekarstwa na romantyzm, ale przepisowe siłę posiadał. Szwagier troszkie

narzekał, że mrówki po ciemku łyka, ale światła bojeliśmy się zapalać, żeby Gieniuchna, co i jak jest, nie sporutowała.

Z wujem gorsza chwestia wyszła. Jak chciał wstać w nocy, żeby się wody napić, wyrznął się w ciemie o blat stołu, tak że guz wielkości pardesa, czyli palestyńskiej pomarańczy, na głowie mu wyskoczył, a niezależnie całe święcone ze stołu na podłogę nam wygruził.

Totyż Gieniuchna się uparła, żeby w tym roku koniecznie amerykankie kupić. Próbowałem ją od tego odstręczyć.

– Gieniuchna – mówię – gorszego nieszczęścia narobisz.

– W jaki sposób?

– A w taki, że z amerykanką żartów nie ma... Automat posiada.

– Co to znaczy?

– Zaraz ci wytłumacze. Otóż uważasz, mój koleżka, niejaki Kropidłowski...

– Ten dziobaty?

– Ten dziobaty. Kupił sobie właśnie taką amerykankie. Mebel prima. Ostatni krzyk techniki. Jak ci wiadomo, taka amerykanka w dzień wygląda jak głęboki, wygodny fotel, wieczorem się roztwiera i przetwarza się z łatwością w szerokie mięciutkie łóżko. Ale cóż, kiedy jest narowista.

– To znaczy, że co?

– Znaczy się, że jak się ktoś na niej położy, niezwłocznie się zatrząskuje i znowuż jest wygodny głęboki fotel.

– No a ten, co się położył?

– Znajduje się, rzecz jasna, w środku.

– I krzyczy?

– Nie. Otrzymuje sprężyną w potylicy i z miejsca przytomność traci. Kropidłowski o mały włos teścia w ten desień nie postradał.

– No i co, złożył lekramacje?

– Owszem, złożył. Centrala meblowa na piśmie mu odpowiedziała, że to drobiazg. Amerykanka jest w pierwszorzędnym stanie, tylko zanadto czuły automat posiada, i zamienili mu na inszą.

– I ta jest lepsza?

– Owszem, ale znowuż absolutnie nieczuła. Jak ją raz roztworzył, wcale się nie dała zamknąć. Totyż Kropidłowski nakrył ją kilimem i zrobił z niej tak zwanego leniwca. Ale tyż się boją na niej kłaść, żeby się kiedy w nocy znie-nacka nie zamkła. Nie kupuj, Gieniuchna, amerykańki, bo jeszcze możem mieć sprawę o ciociobójstwo.

A Gienia na to:

– Musze mieć amerykańki i szkoda mrugać!

Wtenczas jej tłumaczy, że to nie jest takie łatwe, że ludzie po meble po pół roku od czwartej rano w ogonkach przed sklepem na placu Trzech Krzyży stoją. A niezależnie trzeba przedstawić świadectwo szczepienia ospy, dowód obywatelstwa, akt ślubu, zaświadczenie komitetu domowego o złożeniu złomu i metali nieżelaznych, wyciąg z życio-rysu o zwalczaniu stonki i nieposiadaniu obrotu bezgotówkowego oraz krewnych za granicą. Jednem słowem, trzeba, jak się to mówi, przynieść trzy podania, klucz od mieszkania i fotografie ojca, a oprócz tego postarać się o jakieś przy-zwoite kumoterstwo.

Nic ją to nie obeszło. Dwa tygodnie latałem, zaczem żem to wszystko załatwił. Wstałem o trzeciej w nocy. Usta-wiłem się w kolejce pod tem sklepem i stoje. Dziwiło mnie tylko troszkie, że sam jeden ten ogonek stanowie, ale jak tylko roztworzyli, wpadłem do środka, podlatam do jakiegoś faceta, któren za biurkiem tam siedział, i mówię:

– Proszę pana, tu metryka, tu obywatelstwo, tu stonka, tu obrót, tu metale nieżelazne, tu fotografia ojca. A jeżeli się rozchodzi o kumoterstwo, to znam osobiście Piernikiewiczza z wydziału mebli giętych wyplatanych.

Spojrzał się na mnie jak na wariata i pyta się:

– Po co to?

– Jak to „po co”? Amerykankie chce kupić.

– Proszę bardzo, niech pan wybierze.

– Jak to „niech pan wybierze”, to fotografia ojca niepotrzebna?

– Oczywiście, że nie.

– I świadectwo ślubu?

– Naturalnie, że nie.

– I stonka zbyt duża?

– Rozumie się. Niech pan wybiera mebel, zaraz panu dam paragon do kasy.

– A po towar się mam zgłosić za półtora roku?

– Ależ nic podobnego, jutro panu odeślemy.

– To jest gotowa do sprzedania?

– Rzecz jasna.

– I można kupić amerykańskie w każdej chwili?

– Nie tylko amerykańskie, ale tapczan, kredens, szafa, co pan tylko zamówi.

– Tak, to ja poproszę o książkę zażaleń.

– Dlaczego?

– Bo tu się balona z klienta robi, śmichy chichy ze świata pracy uskutecznią, prymaprylus w połowie kwietnia urzędują.

Facet zaczął się tłumaczyć, że nic podobnego, że w centrali meblowej niemożliwie się wszystko zmieniło, że każdy jeden mebel można z łatwością otrzymać, że braków już prawie nie ma i temuż podobnie.

Prosiłem, żeby mnie uszczypał w policzek, bo się chce przekonać, że to nie sen. Przekonałem się. Ale dopiero jak mnie przysięgę złożył na radę zakładowe i zaklął się na personalnego, wybrałem amerykańskie kryte czerwonym rysem i przywiezłem do domu.

Jak przyjechała rodzina, naradziliśmy się z Gienią, że nie ciocia, tylko wujko Wężyk będzie spał na amerykance. Starszy człowiek. Polska Ludowa niewiele już się po niem może spodziewać.

Amerykanka działa planowo, ale mimo tego namówiłem wuja na testament. Teraz wszyscy śpiemy spokojnie. Zwłaszcza że wyrób państwowy, w razie czego pogrzeb odbędzie się na koszt państwa.

### *Bijemy się...*

Stanowczo za dużo i za często nadużywa się w prasie i mowach słów „bijemy się”. O wszystko się dzisiaj bijemy: o wykonanie planu, o nawóz naturalny pod szparagi, o autobus do Pikutkowa Dolnego, o spokój na mieście i temuż podobnie. Z tego nadużycia nieraz familijne nieprzyjemności i koszta sądowe powstają. Ja już dwa takie wypadki miałem w rodzinie. Jeden ze szwagrem Piekutoszczakiem. A mianowicie derektor fabryki, w której szwagier pracuje, skarżył się na zebraniu, że spółdzielnia „Polska Krówka Śmietankowa” zajęła jem lokal, który był przeznaczony na żłobek dla dzieci.

– Koledzy, bijemy się o ten żłobek! – powiedział.

Szwagier Piekutoszczak, chociaż bezdzietny kawaler, został wybrany w delegacji do tej „Krówki” i kiedy kierownik nie chciał po dobroci oddać lokalu, szwagier pyta się swojego derektora:

– Bijemy się o ten żłobek?

– Bijemy!

No to Piekutoszczak śmietankowego kierownika w ucho.

Zrobiła się z tego niemożliwa chwestia, derektor wszystkiego się wyparł w żywy kamień, szwagra gdzieś tam za